

Z PKF przez Polskę i świat – Olimpiada w Montrealu

16 września 2019

Jak powstała relacja Polskiej Kroniki Filmowej z Olimpiady, którą uznano za wzorzec relacjonowania sportowych imprez.

W Paryżu najważniejszą sprawą dla władz INA stała się obsługa Igrzysk Olimpijskich w Montrealu. Rozważano różne warianty, utworzono nawet zespół, któremu przewodniczył Colin-Reval, w jego skład weszli najbardziej doświadczeni szefowie kronik: Hans Lipp z „Fox Toenende Wochenschau” z RFN, Pieter M. Buis z „Polygoon Journal” z Holandii i Peter Hampton z „Fox Movietone” z Wielkiej Brytanii. Po długich badaniach i dyskusjach postanowili, że aby obniżyć koszty, INA nie wyśle do Kanady własnych operatorów, ale przyjmie ofertę O.R.T.O – telewizji kanadyjskiej, która będzie codziennie przysyłać do „Fox Movietone” w Londynie 20 minutowy serwis filmowy na taśmie 16 milimetrów, Movietone poszerzy materiał na taśmę 35 milimetrów i wyśle do piętnastu kronik, które przystąpiły do „pool’u”.

Nam to rozwiązanie nie odpowiadało, postanowiliśmy filmować sami. Zaproponowałem wspólny wyjazd Januszowi Kreczmańskiemu, operatorowi, który chrzest bojowy przeszedł w 1972 roku w Monachium i jak nikt w kronice znał się na sporcie. Do Montrealu przylecieliśmy samolotem razem z polskimi sportowcami. Na lotnisku czekał na nas ksiądz! Byliśmy z Januszem zaskoczeni, by nie powiedzieć zaszokowani. Widocznie wielebny dostrzegł nasze zdziwienie, bo wyjaśnił na wstępie, że tak zdecydował minister pełnomocny i konsul generalny PRL w Montrealu, Marian Kruczkowski. Informacja księdza całkowicie nas uspokoiła, ale mimo wszystko w drodze z lotniska rozmowa się nie kleiła. Janusz Kreczmański chcąc przerwać krępującą ciszę, zapytał księdza, czy był w Rzymie na jakiejś imprezie zorganizowanej przez Watykan?

„Pewno pana rozczaruję, ale w tak nabożnych imprezach watykańskich nigdy nie biorę udziału” – oznajmił – tajemniczo się uśmiechając. Odpowiedź zbiła nas z pantałyku do reszty. I może właśnie, dlatego Janusz wypalił bez ogródek: „Pragnę księdza poinformować, że jesteśmy członkami partii.” „Wie pan – powiedział ksiądz łagodnym głosem – mi to nie przeszkadza, polski komunista jest jak rzodkiewka z wierzchu czerwony, w środku biały, wiem o tym coś niecoś, bo pracując w radiu Wolna Europa, wielokrotnie się o tym przekonywałem”.

„Tego nam tylko brakowało – pomyślałem – i zapytałem, kiedy będziemy mogli spotkać się z moim przyjacielem, Marianem Kruczkowskim, konsulem generalnym i ministrem pełnomocnym PRL w Kanadzie”. „Obawiam się, że dopiero po powrocie do Warszawy, albowiem wczoraj pan konsul wraz z małżonką powrócili do Polski”.

Grom z jasnego nieba nie wywarłby większego wrażenia. „Ksiądz raczy sobie z nas żartować” – powiedziałem dość oschle. „Bardzo panów proszę, nie denerwujcie się, opowiem wszystko na plebanii”.

Nasz gospodarz, Andrzej Ćwikliński, był księdzem Kościoła polskokatolickiego, piszę o tym z kronikarskiego obowiązku, bo jak zdążyłem się później przekonać, wierni przychodzili do świątyni księdza Ćwiklińskiego i modlili się równie gorliwie, jak w Kościele rzymskokatolickim, bowiem liturgia była w obu Kościołach podobna, a w drobiazgi nikt tu nie wnikał, tym bardziej, że najbliższa polskojęzyczna parafia Kościoła rzymskokatolickiego zbankrutowała, gdyż nieudolny proboszcz nie zdobył odpowiednich środków na opłacenie podatków i utrzymanie świątyni. Kościół księdza Andrzeja prosperował doskonale, bo miał hojnych sponsorów, a wśród nich wyróżniał się Edward (Eddy) Wrzesiński, milioner polskiego pochodzenia, uznający rząd Polski Ludowej, miał, bowiem w warszawskim rządzie przyjaciół, z którymi przeszedł szlak od Lenino do Berlina. „Uciekł” – tak się kiedyś określało wyjazd za granicę – bez zgody władz, z Polski i w Kanadzie zrobił błyskotliwą

karierę, czym zyskał sobie uznanie wielu odłamów skłóconej Polonii.

Po przyjeździe na plebanię, gościnny ksiądz Andrzej, posadził nas za stołem, włączył telewizor i poszedł do kuchni sprawdzić czy panie przygotowały kolację. Z drugiej wiadomości dziennika telewizyjnego dowiedzieliśmy się, że policja Quebecu zabrała ministrowi kultury prawo jazdy, już po raz trzeci, bowiem przekroczył dozwoloną szybkość na autostradzie. Wysłuchaliśmy tej informacji z dużym zaciekawieniem. W naszej ojczyźnie Milicja Obywatelska takich uprawnień nie miała, z pewnością, dlatego, że na polskich drogach kierowcy nie rozwijali nadmiernej szybkości, a poza tym żaden minister nigdy nie prowadził samochodu, bo miał osobistego kierowcę.

Kolacja, wyśmienita, przebiegała w doskonałym nastroju, parafianki dały z siebie wszystko, aby goście księdza Andrzeja poczuli się jak u siebie w domu i jeszcze trochę lepiej. Ksiądz nie miał stałej gospodyni, panie, jak przystało na dobrze zorganizowaną parafię, same ustalały dyżury opieki nad pasterzem!

Tego wieczoru czas upłynął nam na wznoszeniu toastów i opowiadaniu o tym, co dzieje się w ojczyźnie i w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie mieszkała mama księdza Andrzeja. Dopiero następnego dnia ksiądz opowiedział nam o nagłym i niecodziennym wyjeździe konsula generalnego z placówki. Konsul generalny, w poprzednim wcieleniu, był kierownikiem Wydziału Prasy KC PZPR. Wyjazd na placówkę w tamtych czasach nie był, więc nagrodą, a raczej zesłaniem. Po Warszawie, w środowisku dziennikarskim, krążyły różne plotki związane z wyjazdem Mariana do Kanady. Jako kronikarzowi nie wypada mi pisać o plotkach, więc ich tu nie powtórzę, kronikarz powinien zajmować się jedynie faktami? Dowiedzieliśmy się, że konsul generalny opuścił Montreal w „białym kaftanie.” Nie miałem podstaw, by nie wierzyć słudze bożemu, ale przypadek zrządził, że osobiście przekonałem się, iż wielebny Andrzej mówił prawdę. Będąc w konsulacie, pomyliłem drzwi i wszedłem do

dużej sali wypełnionej niemal pod sufit jakimś czasopismem. Z ciekawości wziąłem jeden egzemplarz, jak się okazało „folderu” o Polsce wydane przez konsulat z okazji Igrzysk Olimpijskich w Montrealu. W rozmowie z pracownikiem konsulatu pochwaliłem nawet okładkę, barwną, ze smakiem zaprojektowaną. Mój rozmówca przyjął tę ocenę z obojętnością, jak to dyplomata, pomyślałem.

Dopiero wieczorem po przeczytaniu artykułu napisanego przez Tadeusza Brzezińskiego, ostatniego konsula generalnego Polski przed II wojną światową w Kanadzie, ojca profesora Zbigniewa Brzezińskiego, zrozumiałem, co się stało i dlaczego Marian tak nagle wyjechał, niemal w przeddzień inauguracji Igrzysk. Artykuł napisany według wzorców amerykańskich zaczynał się od konstatacji, że Polska pod rządami Edwarda Gierka rozwija się lepiej i szybciej niż za Władysława Gomułki, wychodzi z zaścianka, otwiera się na Europę i świat. Autor przytoczył kilka pozytywnych przykładów osiągnięć PRL-u. Opis pozytywów ciągnął się do połowy artykułu, a może nawet zajmował więcej tekstu. A potem, nagle Tadeusz Brzeziński zaczynał w artykule zastanawiać się, co by było, gdyby w Polsce zamiast komunistów rządziła demokracja, a nad Polską nie panowali sowieci...

Nie mogłem uwierzyć, że Marian Kruczkowski, człowiek inteligentny, z ogromnym doświadczeniem dziennikarskim, znawca amerykańskiego dziennikarstwa, mógł przeoczyć tak ewidentne, delikatnie mówiąc, nieprzychylne Edwardowi Gierkowi zakończenie artykułu.

Nie mogłem uwierzyć, ale potrafię sobie wyobrazić, jak to się stało. Po objęciu stanowiska konsula generalnego Marian z pewnością spotkał Tadeusza Brzezińskiego na jakimś dyplomatycznym przyjęciu i nawiązał z nim znajomość. Jako człowiek otwarty, świetnie władający językiem angielskim, prawdopodobnie przy okazji spotkań ze „starszym kolegą”, prowadził z nim interesujące dyskusje, także na temat Polski Ludowej. Tadeusz Brzeziński prawdopodobnie w rozmowach nie kwestionował osiągnięć Polski Ludowej, oczywistych i widocznych. To tylko zapyziali antykomuniści nie widzieli w

Polsce zjawisk pozytywnych. Ludzie o szerokich horyzontach intelektualnych, a do takich osób należał Tadeusz Brzeziński, nie popadali w zaciętrzewienie. Spotkałem za granicą wielu Polaków, a także cudzoziemców, którzy realnie, bez uprzedzeń oceniali sytuację w Polsce, choć nie akceptowali formy rządów. Wyobrażam sobie, że kiedy Tadeusz Brzeziński wręczył artykuł Marianowi, ten „rzucił okiem” na pierwszą, drugą i trzecią stronę, nie doczytał do końca i skierował go, z jemu tylko właściwą nonszalancją do druku. Pracownik, nie czytając wykonał polecenie albo przeczytał, uśmiechnął się w skrytości ducha i wydrukował. Dopiero po ukazaniu się „folderu”, Marian uzmysłowił sobie swój błąd, odwieźli go z lotniska w Warszawie prosto do szpitala.

Przeżyłem dramat Mariana bardzo mocno, jak nieszczęście kogoś bliskiego. Darzyłem go szacunkiem, zawsze ilekroć potrzebowałem pomocy okazywał mi ją jak koledze. Będąc kierownikiem Wydziału Prasy nigdy nie wynosił się nad dziennikarzy. Z jego bratem, Tolkiem, studiowałem na dziennikarce, a przez kilka miesięcy uczyliśmy się nawet w Kaliszu w tym samym liceum, znałem ich ojca, który okazał mi wiele pomocy, gdy w kaliskim starostwie zbierałem materiały do pracy magisterskiej. Postanowiłem, że zaraz po powrocie do kraju spotkam się z nim, tak szybko jak to będzie możliwe.

Przyznaję że to, co zobaczyłem w Montrealu przerosło moją wyobraźnię: dziesiątki kamer telewizyjnych na stadionie, w halach i na basenach. To sprawiło, że musiałem zmienić koncepcję wydania kroniki. Uznałem, że nie możemy konkurować z telewizją, ale możemy pokazać na ekranach to, czego telewizja nawet nie zauważy. Moja propozycja początkowo nie spotkała się z uznaniem Janusza Kreczmańskiego, ale w końcu po burzliwych dyskusjach osiągnęliśmy kompromis... Dodam tu jeszcze, że mając akredytację prasową, mogliśmy filmować określone dyscypliny sportu tylko z miejsc przeznaczonych dla publiczności.

Dzięki ogromnej wiedzy Janusza o sporcie i zawodnikach, którą zadziwiał dziennikarzy w Centrum Prasowym, a także służby

porządkowe i hostessy na stadionie i w halach sportowych, bezbłędnie filmowaliśmy polskich i zagranicznych zwycięzców. Miłośnicy sportu, po tragicznych zajściach w Monachium, nie mieli wstępu do wioski olimpijskiej, my mogliśmy tam filmować bez przeszkód, rychło się okazało, że staliśmy się łącznikami między Polonią a reprezentantami kraju.

Do księdza Andrzeja zgłaszali się Polacy zamieszkaali w Kanadzie i przesyłali za naszym pośrednictwem „drobne prezenty” sportowcom polskim. W sposób zamierzony i przemyślany filmowaliśmy całą otoczkę związaną z Olimpiadą.

Na obrzeżach stadionu spotkaliśmy polską doktorantkę Uniwersytetu McGill, która sprzedawała różne drobiazgi – pamiątki związane z Olimpiadą. To od niej dowiedzieliśmy się, że młodzież ze wszystkich placówek dyplomatycznych, ucząca się i studiująca, zarabia pracując na Igrzyskach, organizatorzy Olimpiady zwrócili się bowiem do wszystkich ambasad i konsulatów z prośbą o pomoc. Placówki dyplomatyczne krajów socjalistycznych zabroniły swojej młodzieży zarabiania dolarów. Ideologia wzięła górę nad rozumem. W Ottawie, gdzie wraz z księdzem Andrzejem uczestniczyliśmy w przyjęciu, w polskiej ambasadzie z okazji święta 22 lipca poznaliśmy polskiego milionera, który opowiedział nam, jak to z pobudek nie tylko merkantylnych zainwestował w Polsce na początek 100 tysięcy dolarów. Otóż postanowił zamówić w fabryce w Łodzi partię dywanów i sprzedać ją w Kanadzie. Sprowadził nawet do kraju klonowego liścia polskiego artystę, umieścił go w rezerwacie Indian, aby przez miesiąc studiował wzornictwo, po to, by później przygotować projekty z indiańskimi motywami. Artysta wywiązał się z zadania nadzwyczaj szybko. Ale fabryka nie mogła rozpocząć produkcji, bo indiańskiego wzoru nie umieszczono w planach produkcyjnych. Po roku oczekiwania milioner postanowił więc wycofać swoje pieniądze, niestety nie chciano mu ich zwrócić, bo zwrotu wcześniej nie zaplanowano. Czy była to tępota biurokratów, czy celowa polityka zniechęcenia inwestorów polskiego pochodzenia? Trudno

powiedzieć. Syn owego milionera studiował w Ottawie, a ponieważ uzyskiwał same celujące oceny, mógł korzystać ze zwrotnego, ale nie oprocentowanego stypendium. I korzystał, przez cały okres studiów wpłacał stypendium na lokatę i uzyskiwał odsetki. Pracował oczywiście na Olimpiadzie.

Syn innego polskiego milionera w czasie wakacji pracował w przedsiębiorstwie swojego ojca jako robotnik za 7,5 dolara za godzinę, anonimowo oczywiście, aby zarobić pieniądze na wyjazd do Europy. – Nie stać cię na to, by zafundować synowi wakacje w Paryżu? – zapytał Janusz. – Oczywiście, że mnie stać, ale mój syn musi poznać ciężką pracę, aby szanował robotników, gdy mu przekażę firmę. Eddy Wrzesiński, który utrzymywał dobre stosunki z ojczyzną chciał zakupić dla swojej firmy budowlanej kilka polskich dźwigów, bo jego zdaniem dorównywały one jakością zachodnim, ale transakcja nie doszła do skutku, polski producent nie mógł dostarczyć części zamiennych w odpowiednim terminie co gwarantowały firmy zachodnie. Te i tym podobne opowieści dawały nam dużo do myślenia. Wróćmy jeszcze na chwilę do Ottawy, na spotkaniu w polskiej ambasadzie, poznaliśmy wielu interesujących Polaków, niestety, czas nam nie pozwalał nakręcić o nich tematów dla PKF.

Po uroczystościach w ambasadzie pojechaliśmy do prywatnego mieszkania radcy handlowego (BRH). Spotkanie przebiegało w bardzo polskiej atmosferze i bez dyplomatycznego protokołu. Zamrożona wyborowa smakowała znakomicie, nie dziwiło mnie, że ksiądz Andrzej nie opuszcza kolejek, sądziłem więc, że w drodze powrotnej samochód poprowadzi jakiś abstynent. Tymczasem za kierownicą siadł ksiądz i ruszyliśmy do Montrealu.

Autostrada, pusta zresztą, biegła przez lasy i nasz kierowca nie zdejmował nogi z gazu. Kiedy tak pędziliśmy, usłyszeliśmy głos policyjnej syreny. Ksiądz natychmiast zwolnił, a kiedy policjant nakazał, by zjechał na pobocze i zatrzymał się, posłusznie wykonał polecenie. Policjant zasalutował, powiedział dzień dobry i poprosił o dokumenty, uważnie je

przeczytał, przyjrzał się nam i prowadzącemu samochód, a wreszcie zwracając się do księdza powiedział: ty piłeś. Ksiądz przyznał policjantowi rację i dodał, że wracamy z ambasady, z przyjęcia z okazji narodowego święta Polski. – No, dobrze, rozumiem cię doskonale, ale proszę jeźdź ostrożnie i nie przekraczaj dozwolonej szybkości. Cała nasza trójka odetchnęła z ulgą, a ksiądz przyrzekł policjantowi, że szybkości nie przekroczy.

Innym razem, gdy w upalny lipcowy dzień ksiądz Andrzej wiozł nas na stadion, a spieszyliśmy się ogromnie, przejechaliśmy puste, boczne skrzyżowanie na czerwonych światłach. Nie wiadomo skąd wyrósł przed nami samochód policyjny. Andrzej (byliśmy już po bruderszafcie) nie miał przy sobie dokumentów, był bowiem tylko w koszuli. Policjant natychmiast połączył się z centralą sprawdził dane i powiedział, iż ksiądz mówi prawdę. Mandatu nie wręczył, gdyż uznał, że zagrożenie spowodowane przez kierowcę było znikome.

Ksiądz Andrzej pomagał nam w realizacji zdjęć, ułatwiał poruszanie się po mieście, dzięki niemu zobaczyliśmy wodospad Niagara, byliśmy w rezerwacie Indian. Do centrum rezerwatu po przekroczeniu bramy prowadziła szeroka aleja, po obu jej stronach stały wigwamy, w których Indianie sprzedawali swoje wyroby i pamiątki nazywane u nas wyrobami ludowymi. Zatrzymaliśmy się przy jednym z takich wigwamów i Janusz zaczął filmować Indianina w pióropuszu na głowie z pięknym orlim nosem. W pewnej chwili Indianin odezwał się do nas: o widzę i słyszę, że panowie z Polski. – Gdzie się pan nauczył mówić po polsku? – W Białymstoku, bo ja jestem Żydem urodzonym w Polsce, tylko moja żona to rodowita Indianka. Ucieszyliśmy się, że nawet tu spotkaliśmy rodaka.

Ksiądz należał do ludzi nadzwyczaj gościnnych, poświęcał nam dużo wolnego czasu, pewnego popołudnia zaprosił nas do kina na film erotyczny, kiedy indziej zaś zaprowadził do lokalu „go, go girls”, gdzie bawiliśmy się doskonale.

Na plebanii często bywali polscy dziennikarze obsługujący Olimpiadę. Ksiądz lubił biesiadować. Często prowadziliśmy z nim długie dyskusje, w których udowadniał nam, że żyjemy w państwie policyjnym. Mawiał: w Polsce paszporty wydaje władza tylko tym osobom, które są lojalne. Tu, w Kanadzie paszport jest prawem obywatela, to władza musi tłumaczyć się przed sądem, gdyby nie wydała Kanadyjczykowi paszportu. Gdy przekraczacie bramę plebanii widzicie napis, że to teren prywatny i każdy to szanuje, nawet policja. Bez nakazu służby porządkowe i policja nie mają prawa tej bramy przekroczyć, a w Polsce? Czy istnieje w Polsce wolna prasa?

Któregoś wieczoru, gdy dyskutowaliśmy o tym, jak świat powinien być urządzony, do salonu wszedł wysoki bardzo dobrze zbudowany mężczyzna z wielkim kartonowym pudłem w ręce. Przywitał się tylko z Andrzejem, wymienili kilka zdań, zostawił karton na stole i szybko się pożegnał. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, ksiądz wyciągnął z kartonu ogromną butelkę z uchem, pełną whisky. Wikarego, natychmiast posłał po lód i opowiedział, dlaczego ten wysoki, przystojny mężczyzna, Niemiec, przyniósł mu aż pięciolitrową butelkę whisky. – Otóż moi panowie – zaczął opowieść Andrzej- ten pan uczynił to z wdzięczności. „Dwa lata temu rozwiódł się z żoną, ale po dwudziestu dwóch miesiącach doszli do wniosku, że są sobie przeznaczeni i postanowili pobrać się ponownie. Przyszli do mnie i związałem ich po raz drugi węzłem małżeńskim (ksiądz jest w Kanadzie urzędnikiem stanu cywilnego), wszystko odbyło się według woli Bożej i zainteresowanych. Ale po miodowym miesiącu ów pan, którego przed pół godziną widzieliście, przyszedł do mnie z rozpaczliwym pytaniem: „Poradź mi wielebny, co mam robić, abym mógł się kochać ze swoją żoną tak jak Bóg przykazał. Mimo że żyjemy dobrze, pomagamy sobie, rozumiemy się, a sporów nie prowadzimy, gdy kładziemy się w łóżku, a ja pytam żonę czy chce kochać się ze mną, ona odpowiada, że nie ma ochoty. Co mam robić?” „Nie pytać, tylko żonę popieścić, a potem postąpić jak mężczyzna” – poradziłem. Ta butla jest świadectwem, że rada poskutkowała”.

Ksiądz Andrzej nalał do szklanek szkockiego trunku, ksiądz Mieczysław Klekot dosypał lodu, a wszyscy ochoczo wypiliśmy zdrowie szczęśliwych małżonków.

Pewnej soboty ksiądz Andrzej zaprosił mnie na mszę i ślub młodego Polaka, zapewniał, że ceremonia zaślubin z pewnością okaże się dla mnie, dziennikarza, interesująca. Wybrałem się na mszę i oczekiwałem na młodą parę. Na ślubnym kobiercu stanął przystojny, młody, dwudziestoparoletni mężczyzna, którego do ołtarza przywiodła starsza pani – z pewnością matka – pomyślałem, szybko jednak przekonałem się, że jest to panna młoda, Włoszka po pięćdziesiątce. Na zakończenie, już po założeniu obrączek, ksiądz zwrócił się do pana młodego: pocałuj żonę. Młody mężczyzna na ułamek sekundy zawahał się i pocałował ją... w policzek. Na plebanii Andrzej opowiedział resztę historii. Młodzieniec przyjechał do rodziny tylko na trzy miesiące, ale zdobył pracę i szybko zaczął dobrze zarabiać, żał było wracać nad Wisłę. Rodzina znalazła „starą pannę”, Włoszkę, która za pięć tysięcy dolarów kanadyjskich zgodziła się poślubić młodzieńca, z zastrzeżeniem, że koszty rozwodu poniesie małżonek.

Drugi ślub, w jakim uczestniczyliśmy, odbywał się w Toronto. Biskup Kościoła polskokatolickiego wydawał za mąż córkę. Było to wydarzenie na tyle ważne wśród Polonii kanadyjskiej, że na wesele wybrał się osobiście Eddy Wrzesiński. Podjechał pod plebanie białym lincolnem – to nie był samochód, ale „amerykańskie dzieło sztuki”, tak długie, iż się wydawało, że gdy przód skręca w lewo, to tył jeszcze jedzie prosto! A wewnątrz – luksusowe – budziło podziw, jak komnata w pałacu szejka: czerwone skórzane fotele, lodówka, telewizor, a deska rozdzielcza z tymi wszystkimi zegarami i czujnikami sama w sobie była oddzielnym zjawiskiem. Taki samochód w Warszawie jeszcze dziś przyprawiłby wielu o zawrót głowy, a my jechaliśmy do Toronto w roku 1976!

Po drodze wielebny Andrzej i Eddy omawiali bieżące sprawy biznesowe wymieniając poglądy i podejmując decyzje. Very

reverence Andrzej poinformował Eddy'ego, że w najbliższą niedzielę pojawi się w kościele prezydent Polski na uchodźctwie. Właściciel lincolna powiedział, że tej decyzji nie może zaakceptować, gdyż nie uznaje rządu londyńskiego. I ksiądz Andrzej zapewnił sponsora, że naturalnie powiadomi o tym prezydenta na uchodźctwie. Gdy panowie zakończyli rozmowę na bieżące tematy, Eddy zapytał jak nam się podoba pojazd? Odpowiedzieliśmy, że nadzwyczajnie i w ogóle, że jeszcze takim samochodem nigdy nie jechaliśmy. Właściciel lincolna poinformował nas, że jesienią musi się pozbyć samochodu i kupić inny. Dlaczego? – zapytaliśmy z Januszem niemal jednocześnie. To, kwestia konkurencji i prestiżu – odpowiedział Eddy. Gdybym w przyszłym roku jeździł tym samym samochodem, konkurencja rozpuszczałaby wieści, że moja firma niezbyt dobrze się rozwija i straciłbym klientów.

Gdzieś w połowie drogi Eddy zatrzymał samochód na placyku specjalnie do tego przygotowanym i zapytał, czy mamy ochotę na piwo? A kiedy usłyszał pozytywną odpowiedź, otworzył lodówkę i wyjął cztery butelki prawdziwego, schłodzonego „Żywca”! W Kanadzie pachnącej żywicą zapachniało oddaloną o tysiące kilometrów ojczyzną, naszą ludową. W Toronto przyjęto nas z polską gościnnością, a następnego dnia uczestniczyliśmy w uroczystości zaślubin i przyjęciu weselnym.

Samo wesele przygotowano w stylu polskim, z akcentem na zwyczaje ludowe. Trudno powiedzieć, ilu gości przewinęło się przez sale recepcyjne siedziby biskupa, ale bez przesady można stwierdzić, że mnóstwo. Mieliśmy przegląd całej Polonii w Toronto, tu nikt się nie krępował, więc podziały polityczne i obyczajowe ujawniły się z całą jaskrawością. Kanadyjczycy rosyjskiego i ukraińskiego pochodzenia trzymali się razem i stąd czerpali siłę. Polacy, skłócení, rozwichrzeni dostarczali tematów do polish jokes. Było nam doprawdy przykro. Janusz Kreczmański o mało się nie rozchorował z irytacji, bowiem „weselnicy” jak tylko dowiadywali się, że przyjechaliśmy prosto z Polski z całą szczerością sięgali do portmonetek i

wkładali nam do butonierek zielonego „dulara”...

W czasie trwania Olimpiady Kanada przeżywała dramatyczne zdarzenia. Oto szermierz z reprezentacji Związku Radzieckiego zakochał się w pięknej Ukraince i postanowił zostać w kraju klonowego liścia. Zaprotestowało kierownictwo radzieckiej reprezentacji i wtedy prasa, radio i telewizja wyolbrzymiły problem do niebywałych rozmiarów. Na pierwszych stronach gazet, w informacjach telewizyjnych na pierwszym miejscu pojawiało się pytanie: czy rząd Kanady udzieli azylu zakochanemu chłopakowi? Sportowcy spod znaku pięcioramiennej gwiazdy, sierpa i młota na znak protestu nie wchodzili na podium, gdy zdobywali medale olimpijskie. Ksiądz Andrzej nie dał ponieść się emocjom i ze stoickim spokojem twierdził, że chłopak nie dostanie azylu i wróci nad Wołgę. Związek Radziecki kupuje zbyt dużo pszenicy – wyjaśniał – i Kanada nie zaryzykuje utraty kontraktu przynoszącego gospodarce miliony dolarów. Szermierz radziecki powrócił do ojczyzny Lenina, co się z nim stało prasa kanadyjska nie poinformowała, choć Janusz Kreczmański nie miał najmniejszych wątpliwości, jaką cenę ów młodzieniec zapłaci.

Drugim wydarzeniem, które trzymało w napięciu sportową publiczność Kanady, był finałowy mecz siatkówki między drużyną polską i radziecką. Prasa kanadyjska, nie tylko zresztą sportowa, radio i telewizje nagłośniły finał do granic wytrzymałości. Trener, Jan Wagner, stał się bohaterem mediów, publikowano jego życiorys i wypowiedzi. Podobnie przedstawiano trenera naszych rywali. I choć prasa i telewizja na ogół prezentowały obie drużyny obiektywnie, wyczuwało się, że nieco większą sympatią darzą drużynę naszych rywali. Czyżby znowu zadziałała pszenica? Dla Janusza Kreczmańskiego i dla mnie wielkim wydarzeniem był także finał piłki nożnej. Nasza drużyna „grała o złoto” z drużyną NRD, mieliśmy w tym meczu olbrzymie szanse... Finałowym spotkaniem ekscytowała się nie tylko kanadyjska Polonia, ale także polscy dziennikarze obecni w Montrealu. Nic więc dziwnego, że w dniu meczu polska

jedenastka była oblegana przez dziennikarzy z całego świata.

Tuż przed meczem, już w pomieszczeniu na stadionie, polscy dziennikarze otrzymali od trenera, Kazimierza Górskiego, pięć minut na rozmowę z reprezentacją. Najbardziej oblegano Jana Tomaszewskiego, sławnego bramkarza, który „powstrzymał Anglię...” Jeden z kolegów zapytał go wprost: „Panie Janku, iloma golami wygrywamy?” „Jeszcze nie wiemy, za ile gramy” – odpowiedział pan Janek. W Montrealu zdobyliśmy srebrny medal!

Panu Janowi Tomaszewskiemu przypomniałem tę rozmowę dwa lata później w Rosario, w Argentynie, gdy w hotelowej kawiarni siedzieliśmy przy jednym stoliku z nim i Zbigniewem Bońkiem. Ale o tym nieco później.

Wyjeżdżaliśmy z Montrealu pełni wrażeń, bogatsi o nowych przyjaciół. Spakowani, siedzieliśmy przed plebanią, czekając na księdza Andrzeja, który pisał list do swojej mamy mieszkającej w Piotrkowie Trybunalskim. Wtedy na placyk przed budynkiem wjechał samochód policyjny, zaparkował, a siedzący w nim policjanci zaczęli nas uważnie obserwować. Gdy tylko pojawił się gospodarz, wskazałem na samochód i zapytałem, przypominając sobie dyskusje z Andrzejem, ciekawe czy mają nakaz, aby nas obserwować? Ksiądz Andrzej wstał z krzesła i ruszył w kierunku samochodu, chwilę rozmawiał z policjantem, po czym wrócił i powiedział: „Nakazu, aby was śledzić nie mają, dostali jednak rozkaz, by bezpiecznie dowieźć was na lotnisko...”

Autorstwo: Mirosław Chrzanowski

Źródła: Trybuna.info, Pekaefczyk.com